

Wincenty Burek

N a s t u ż b i e

Za Mankiem Chmielem krok w krok laziła zazdrość całej wsi. Od dawna. Już od tego czasu, kiedy Maniek, trzymorgowy przywódcą z trzeciej wsi, wziął i capnął ocińskim kawalerzakiem najzdatniejszą pannę i najwalejsze wiano. O, długo nie mogli tego przeboleć, darować, zabaczyć...

Popóźniej ten jakiś sposób Mańkowy na zły czas. Insi tego sposobu nie wynaleźli, a on skądś go dobił i ma. I trzyma i tak manebrował, że pożytek mu z niego wyłaził. Insi skwierczą, biedzą, cholerują, a on ta zawsze ma sytną, roześmianą gębę, że i co. Pobudynki paradne, chudoba galanta, krowy i świnię na wystawę można wywieść, buhaj sławę naokoło roznosi. A zaś zboża na jego niwach — jak u dziedzica na dworskim. A w całym obejściu i sposobie gospodarskim — nie ino dostatek, szczęśliwość i chwala. To niedziwota, że zazdrość ludzka nie usnęła. Zazdrość się ustawiła świadomym okiem na Mańkowe dobro.

— Bogoc, psiokruka, bogoc — powiada każde spojrzenie, i okrywa się złym przetyliskiem jak se już przybaczę tu swoją bidę i że gdzie się jej ta przynierza do majętności szczęśliwea. — Wiedzie się mi i już.

— Bo głowe mo nie na pokoz — dolatuje prawda, co wszystko tłumaczy.

— Głowa głowa, ale tu trza, żeby były ręce.

— Rece? Rece mo Tworogoseyk. Ho-ho, co za rece, co za rece!

— Tak, żeby nie ten parobek...

— Żeby nie te rece...

Te ręce Stacha Tworogoseyka w sławie były powszeźny i w cenie u wszystkich. I ta zdadność Stachowa w każdej jednej robocie. I talent w gospodarskim obrządku i zuchostwo. Udał się juchtra chłopak, bo się udał. Sobie i gospodarzowi. Oba z gospodarzem nadali się do siebie na podziw. Tu głowa i rząd — a tu ręce i harunek. To i wszystko szło u Mańka Chmiela — jak z karty. Szła przychód, dostatek, uciekała bida od wrót. Rosła obom chwala i opłatała się lepkiem powojem ludzkiej zazdrości. Kosooka zazdrość siliła się na widok tych dwóch zuchów, co szczęściem potrafili wyosobnić gospodarkę spośród okolnej biedy-niedoli. I zazdrość wszystkich już Mańkowi podarowała, ino nie tego parobka. Tego Stacha Tworogoseyka, co wiernie od lat służy i widać tak wprzód butów swemu gospodarzowi nie spali. Wielby odzłował ten i tamten zazdrości, żeby Stach buty spalił i odszedł. Były różne próby i podejścia na Stacha, ale wszystko nanie. Mijał rok za rokiem, a Gody zmieniały się parobek tu i tam, a u Mańka ostawał postarciu. Ostawał Stach Tworogoseyk na jeszcze jeden rok.

— Coś w tem jest, że ten Stach tyli cas służy u Chmiela — mówilo się często na Ocinu. — Mogłoby się mu kaj nadać z zeniacką, bo chłopak zdalny, robotny i taki zuch, a

un nie ino horuje i horuje na jednym miejscu.

— A więc, że nawet takrok dała mu znać jedna wdowa z Zogród, żeby się zenik. Nie chciot.

— I do dworu go namowiali. Nawet nie słuchot.

— Ej, ej, tu coś jest w tem.

— Musi coś być...

Jak Tworogoseyk nastal do Chmiela, to Hela była jeszcze taką se tam podfruwajką. Chowała się ładnie, przy siostrze i szwagrze Chmielu i zadawała się na zdatną pannę. Choć niebardzo ją do roboty doganiali, ale przecie nigdy nie mogła w chałupie darmo usiedzieć, zawsze musiała ręce zaciepić wokół domowych porządków, a już najwięcej w obozrze i w polu. Nikiej furekza związała się przy dojeniu, koło świń, we żniwa dorównała śmiało starszym i nauczonym roboty. Wiecej się Hela widziało przy pracy, aniżeli Mańkową babę, co ponajwięcej siedziała w chałupie przy kuchennych dółkach i rada widziała, jak się siostra garnie do conajęniejszych robót.

Przy każdej robocie sprzymierzała się Hela z parobkiem. W obozrze i w stodole, w ogrodzie i na polu robili razem co się należało i odwalali go spoldarską powinność w ohoecie spoldnej, zręcznej pracy. Stach wprzód się przyzwyczaił do tego porządku, że zawsze będzie miał koło siebie śmiga, pracową, wesołą dziewczuszkę i że tak we dwoje snuć się im będzie uśmiecnięty wysiłek. I lubił choć trochę odwracać oczy od zatrudnienia, ażeby popatrzeć na rumianą Helę, jak się uwija chęzo — kipiąca od zdrowia, siły i porywistej ochoty. Śmiały mu się do Heli siwe oczy i dziwnie jakoś dobrze mu wtedy było, że najrozszy harunek wydawał się lżejszy i sposobniejszy do zepchnięcia.

— Wis, Hela, co ci powiem? — pogadywał do dziewczuch. — Z tobą to już nie wiem jaką robotę można robić i będzie letko i dobrze. Cheba nosis jakie cary w zonadru, abo co?

— E, pleciugo, godoś som nie wis co — odpalała trochę zawstydzona, bo zawsze się jej zdawało, że Stach robi przytyk do tych znaków dziewczuch, co wymownie rozpowiadają z zanadru o nadeszłym już czasie do kochania i pieczyoty.

— No, już jo ta wiom — przekommarzał się pod wtór chybkiego zamachu tych swoich rak, tak celnych w robocie i tyle chwalonych. Słodkie chwile spólnego trudu nanosiły mu tyle wesela, że i grzbiec zgarbiony przy kosie, snopkach lub sieczkaru nie dokuczał boleńiem, i niegłaźnie śmigały, jakby wypocynkiem kwitły, a nie utykaniem nieprzerwanem przez długi, robotny dzień. Stach chodził w obłoku dziwniejszej radości i promieniał. Przy robocie — robotny na podziw, przy pogwarce — wesoły i śmiejący, wszędzie, gdzie ino stąpił, rodziło się za nim samo dobre i wesołe. Nie

le i dwa wazony z gałęzmi „złotego deszczu“ pod oknem. Ale i poważny odcień dębowego kreden su miał swój udział w tym niedzielnym nastroju: dbał o to, aby barwy nie naśladowały ludzi, lecz aby się zlewały w harmonję wypożynku. Kolorów było wiele: w poduszkach na kanapie, w obrazach na ścianie, w dywanie na podłodze. Srebrna blacha samowaru (nigdy nie używanego) i blask słońca na brązowej popielniczce — wykańczały całość. Były, jak ostatnie dotknięcia pędzla na obrazie. Między temi barwami przechadzało się powietrze w strugach naprzestrzał otwartych okien. Wzdymały się białe firanki. Padały na ziemię uwiedle liście „złotego deszczu“.

— Znowu zaczynasz? — zapytał ponuro Richtig. Popołudnie szło coraz gorsze.

Wiktoria wydeła wargi.

— Czy ty wogóle możesz rozumieć świat? — Zakreśliła w powietrzu ręką półkole nieco teatralnym ruchem i wskazała za okno. — Ten świat.

— Jaki znów świat, Wiktoria?

— Gdy się mówi świat — rzekła zgrzyliwie — to ty myślisz skóry. Ach, skóry!

Richtig od dawna był przeciwny należeniu Wiktoria do wypo-

ziew, że go też lubili wszyscy w chałupie i na wsi i że więc zazdrościła Mańkowi takiego parobka.

Nie można powiedzieć, żeby Hela nie była słowem, patrzeniu i całemu sposobowi, jaki Stach w robocie i zachowaniu przed jej oczyma wykladał. Mile się jej pracowało wespół ze zdalnym chłopakiem. Ceniła go głównie za tę zdadność, za młodą fantazję we wszystkim i za to jego staranie, żeby jej zawsze przysięgł z jaką wyreka i posługą choćby najmniejszą. Wyrozumiała chęzo, że znaczy dużo dla niego, że Stach jest dla niej osobliwszy i dziwnie inakszy, aniżeli dla dziewczuch wsiowych. Zauważyła to już na graniach i przy każdym niedzielnym zebraniu. Trochę to ją mieszało i niespokoiło, ale młoda dziewczynska swawolność przesłakiwała poprzez głuche strachy przed cenzurą, czego nie umiała pojąć, i leciła na spotkanie tego obłoku, co spowijał Stacha przy spotkaniu się z nią w izbie i przy pracy. Korciło ją nieraz, czyby się nie spytać, czemu to Stach tak pięknie na nią patrzy i tak łagodnie zagaduje i się przymila, do dziewczuch na wsi mało to zachodzi, a jak się z którą spotka, to i gada i patrzy inaczej. A czasem ogarniał ją śmiech bez widocznej przyczyny, albo i złość dzika na tego Stacha. „Co u niego tak to bałonic na mnie wybatuś? Gawroni się, jakby chciot, żeby go cem opatrzyć“ — myślała nieraz w zmieszcznem zastanowieniu. Ale po takich dachach przed samą sobą była dla Stacha jeszcze lepsza i miłsza w pogawędce, jakby chciała chłopakowi wynagrodzić szkodę, zrobioną przeciw niewiedomości o co i po co. A Stach wtenczas jechał niefrasobliwie na stu koniach radości.

Chmiele wrychle poznały co się z parobkiem wyrabia. Ale się też i nie zastanawiały nad stachową fanta-

zją. To i cóż, że wiosenny omam rozkołował widać Stacha? Chłopak jeszcze młody i niepocholetni, głupi chłystek, co nie idzie za rozumem, ale za jakąś wydumką. Jak to młody, niedziwota.

— Trza go odprawić, Maniek, bo jesse Hele zbalałmuci — kłopotala Chmielowa.

— Ij, nima strachu. Nie takiego jesse się nie zaważowało.

— No-no, żeby nie zapóźno.

— Hela nie jest głupio, wi z kim mo do cynienia. A zresztą, gdzie jo znowe drugiego takiego? I za taką małą wysługę. To lepiej dlo nos, że tak jest jak jest. I nie my go tu trzymomy na pożytek, ino Hela. Ha-ha-ha!...

Na drodze przed Chmielem, na obozrze u Chmiela, w chałupie i w całym okółu dziś ruch jak w szklanej bucie. Pogodny, czerwcowy dzień sy się żarem słońka i radosnym gwarem niedzielnie ogarniętych ludzi. Coraz to zadudnia wozy i wgnamią się z trajkotem, na obozrze Chmiela i do pobliskich sąsiedzkich obrobów. Wali procesja starych i młodych i skreca w chmielowe obejścia. Chmarzy dziekie wyległy na drogę pozastodoit i nasłuchują pilnie, czy aby nie dolatuje wyczekiwany pogłos.

I po czasie nadfrunęły zdala skoczne i zrywne nuty. Rozpływają się po polach, wiszą nad zbożami, obzajmują się wesoło ludzimi, co się tu schodzą i buczą głosami i czekają. Nuty są coraz wyraźniejsze i wyraźniejsze, i wnet zła zakręta wychynęła burza melodji i szła z grzmotem, z dudnieniem kół i zawożeniem śpiewu — wprost do chmielowej zagrody.

— Wesele!...

Stach Tworogoseyk nie uwija się, czego zwyczaj, na obozrze. Pośród chłopaków nie widać teraz jego okragłej, rumianej, roześmianej gęby. Nie ma go wcale i nie będzie.

Stach Tworogoseyk ubrał się w trawną odświętną, wsadził jakiś mondziolek pod pachę i nakierował się na polną miedzę za wioś w stronę miasta. Daszek położył głęboko na oczach, przygarbił się czegoś niezwyčajnie, i dziwnie niezwyčajnie potyrtolił się wśród łanów zbóż. Daleko nie zaszedł. Skreślił ze ścieżki na Rownia i wlażył w żyto na najwyższym cyplu pół, skąd widać do brze całą wioś. Postął tu chwilę i obalił się na zieloną ściółkę, ino szeslest poszedł naokół.

— Wesele. Holine wesele! — namrotał niewyraźnie. Zaparł oczy i długo leżał bez ruchu. Gdzieś w górze świegolił skowronek i piał i zachłystywał się w upojeniu śpiewania. A zoddali wybrzmiewał głuchy odgłos bębna i urywki wesołego grania. Radość, weselna radość nakryła sobą doimentu tamtą chałupę, całą wioś, te pola, to okole.

— Już po Heli. Już ji nie będzie — skwierczało mu wciąż w myślach to jedno jedyne. Nie mógł pojąć, że oto już... Przez całe cztery lata patrzył se na nią radośnie i ufnie, w najskrytszych pomyśleniach łączył ją z sobą, tyli czas wierzył, że może przecie jakoś... Choć natręcho śmiał się nieraz ze swojej śmiałości i głupoty nad głupotami, ale czemuż to nie miał być śmiały, kiej te rachuby wspierały się na jej łaskawości, dobrem słowie, ciepłych spojrzeniach. Że jest biedak i parobek, a ona gospodarska córka z ładnymi morganami i wianem, to i co? Ten co dziś ślub z nią bierze ma nie więcej jak trzy mordzyny. I żeni się. I Hela się go nie odrzekła.

— Jak się to zrobiło, że tak dołem się okpić — przelatywały mu po głowie gorzkie myśli. — Horowalem jak kuń, zabijolem się robotą po dniach i po nocach, żeby ino z nią razem, dlo niej, żeby se uskarbić jej łaski, żeby widziała com za jeden.

Za zaciśniętych zębów wyrzucił raptiem głuźne słowa:

— Okpiły mnie wszystkie, osukały, zorazy! Robiły tak, żeby mnie przyniewoili do siebie. Niby to nie nie obiecywały, a obiecywały. A jo głupi baron wierzyłem.

Nagła złość potrzasała nim jak wiatr osika. Myśli o zemście zaczęły się kłuć — dzikie i srogie, chytne i zabiegliwe. Rozpatrywał je Stach na różny sposób długo i cierpliwie. Wtórowały mu porwiste tony, nadlatujące wciąż za każdym zawiewem wiatru.

Na odwieczny rozchwały się znów drogi. Długi sznur furmanek pościągł do kościoła. Stach wymiarkował ten czas ślubu, pogarnął się do zawiniątka, wyjął stamtąd obłągnię flachę okowity i zaczął pić a pić. Aż do dna. Wrychle stracił pamięć o sobie. Zginęło mu wszystko z myśli i zasunęło w niepamięć.

Ino kłasy gaworzyły wokół, a niebie skrecał się srebrny rogalik, a pod niebem, po rosnem powietrzu tańcowały weselne, dygotliwe nuty...

— Nie będę panom przeszkadzać.

— Ha, ha, ha — zaśmiał się Kwiatkowski.

— Skądże znowu — powiedział Szreder.

— Celina wyszła, muszę przygotować podwieczorek.

Kwiatkowski uderzył Richtiga w łopatkę.

— Masz Glück, stary — rzekł i zaraz się ogromnie zaczerwienił.

Wiktoria spojrziała na niego karcącym spojrzeniem.

W tym czasie Szreder powtórzył dwa razy słowo „podwieczorek“, jakby badał jego treść. W rzeczywistości zapytywał siebie w duchu, czy Richtigowa ma na myśli paczki czy małe maślane bułeczki. Intonacja głosu jednak nie mu nie mogła wyjaśnić. „U kobiet wszystko zależy od humoru — zdecydował, biorąc karty — prawdopodobnie będą bułki“.

Skrzywił się i rzekł na głos:

— Zwykle pik.

Richtig wygrywał. Wygrywał ciagle, chociaż grał bez uwagi.

Wysokie karty pchały mu się wprost w ręce. Szreder cierpiał, zastanawiał się, czy nie poszukać pretekstu i nie uciec. Można wyjść stąd bez spodni — kłopotłosem. Żeby taki podły, rudy szczer miał brać od nich tyle pieniędzy. I żeby chociaż grał uważ-

I Stach nie odszedł od Chmiela po tem weseleku Heli. Ostał i siedział na starym miejscu podawemu. Był niby u Chmiela, ale już nie ze wszystkim. Ostało się ciało, bo duch dawny gdzieś się zapodział i przepadł na amen. Robić Stach robił, koło obrządków w gospodarstwie zwyczajnie się kręcił, ale już ino na niby. Coś się w nim odkręciło i przemieniło nawspak.

— Oho, Tworogoseyk się opuszcza w robocie — zdążyła zauważyć wioś. Zazdrość i niechęć wsiowych ludzi osłabła nieco i przymalała.

Opusta i upadek ochoty w parobku nie uszły przecie i oka gospodarzy. Kiwali głowami, ale nie chcieli narazie zapocząć ze Stachem. Wdzieli w czem rzecz, litowali się nad chłopakiem. Zresztą njako im było odganiać go na same żniwa, kiedy się przecie za miód przyda. A i zasług wainie już odebrał na letnie ogarnięcia. Trza ano poczekać, aż się w nim żal wyburzy. Czas zrobi swoje.

Czas zrobił tyle, że Stach zaczął się biesić nadobro. Co niedziela i święto przepadał na cały dzień, że trza było za niego obrządkować wedle koni i bydła. Wracał nad ranem — przepity, szulany, senny i już do nieczego. Skoro ino gospodarz wychodził za bramę na poniedziałkowy jarmark w miście, szedł Stach zaraz do stodoły i gnił tam hola na dzień, nieraz do popołudnia. Każdą robotę spychał kołkami palców. Na ostrożne uwagi gospodarzy odjadał się ostro i odważnie. Opuścił się coraz i nie dbał już o nic.

Wnet i przepadał każdego dnia za raz po wieczornej warzy. Nieraz nie czekał nawet na kolację, jakby mu się gdzieś duśnię spieszyło. Wprzód też wykryli, że se znalazł dziewczynę na Radoszka. Zle o niej gadali i o jej ojciech. Że mają za długie ręce.

Wtedy w obejściach. Mańka Chmiela zaczęło się coś dziwnego przysadzać. Giniły różne rzeczy. Ktoś wykradł masę kur i parę gęsi. Ktoś odebrał się do spichlerza i ogołocił ze zboża i czegoś tam nie było. Zniknęły gdzieś chaby z komory. Nie było tygodnia, żeby nie wpadła jaka zništa w gospodarstwie. Czujna stróżka nie zradziła, ślady wpadały jak kamień w wodę.

— Stachia potraza przegnął w kibinimater — zasądziło oboje Chmiel. — Nie inacy, ino za jego przyczyną te strafunki.

Z małuskim kufierkiem poszedł ze Stach z tego miejsca, gdzie tyle lat upracował i takie marzenia uwijał dla siebie. Rozwiał się marzenia i rozwiał najlepsze młode ozasy. Teraz przed nim mglisty widok, nie widać nigdzie stałego miejsca, trwałego kąta. Stracone imię, dobre dawne imię.

Powłókl się na smutne drogi i gościniec. Gdzie oczy zaprowadzą...

Żeby widać ludzka zazdrość mogła się syć radością i nachichotać się dowoli.

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACJI KSIĘGARSKICH

BEKIER J. Ks.: Zebranie rodzicielskie. Materiały na konferencję rodzicielską. 80. Str. 51. Kalisz, 1934. Skł. Dom Książki Pol. Zł. 1.25.

DOMIN K.: Ochrona przyrody ze stanowiska biologa. 80. Str. 20. Kraków, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 0.40.

Głód na Ukrainie i jego przyczyny. Hl. tr. 80. Str. 28. Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 0.50.

HEDEMANN O.: Dawne puszcze i wody. z mapką 80. Str. 187. Wilno, 1934. Księgarnia Sw. Wojciecha. Zł. 4.-

LEWANDOWSKI L.: Ustawodawstwo pracy. Wyd. 2-gie. 8. Str. 68+189. Łódź, 1934. Księgarnia Czytaj. Zł. 6.50.

MAKOWIECKI S.: Letnie owoce jabłka, gruszek i śliwki. 80. Str. 27. Lwów, 1934. B. Polonicki. Zł. 1.-

MARCZYNSKI A.: Gaz 303. Powieść sensacyjno-humoryst. Wyd. 3-cie. 80. Str. 391. Kraków, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 3.-

MOGILNICKI A. dr.: Ustawy kar-

ne dodatkowe. Ustawy państw zabójczych. 80. Str. XLIII+763. Kraków, 1934. Księgarnia Powz. Opr. Zł. 15.

PAWLAK Wl.: Piętko chałupników. 80. Str. 15. Warszawa, 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 0.50.

PIOTROWSKI R.: Ustne umowy kartelowe a rygor pisemności w polskiej ustawie kartelowej. 80. Str. 51. Warszawa, 1934. Biblioteka Prawnicza. Zł. 2.50.

ROMANSKI M.: Sprawa Nr. 777. Kraty. Powieść. 80. Str. 244. Warszawa, 1934. S. Cukrowski. Zł. 6.

RÖMEL J.: Kawaleria polska w 1920. 80. Str. 77. Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.10.

RZEPECKI T. dr.: Przepisy Polskiego Kodeksu Handlowego dotyczące podróży agentów i przedstawicieli handlowych. 80. Str. 140. Poznań, 1934. W. Wilak. Zł. 3.80.

SZCZENIOWSKI B. inż.: Podgrzewanie czynnika zasysanego w silnikach wybuchowych na paliwa płynne. 80. Str. 72. Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 2.

wrotem. Nagle ludzie przystają olśnieni. Co to, czy to fajerwerki puszczają na stawie, czy prezydent obchodzi drugi raz w r. imieniny? „Nie, — mówi ktoś w tłumie — nie, to u Richtigów puszczono w ruch aparat!“ Ludzie tłoczą się wzdłuż balasek, a małżonkowie kręcą kontakty. Światło gra. Raz pomarańczowo, zielono, czerwono, niebiesko. Albo niebiesko z czerwonym, albo dodaje się jeszcze kolor pomarańczowy. Ale najpiękniej, gdy się zaświeci wszystkie siedem kontaktów naraz. Wtenczas przychodzi policjant i rozpedza ludzi, ponieważ dorozki nie mogą przejechać przez jezdnię.

„Niech co kto chce mówi, ale w tem coś jest. A czy Sobkowiak ma rzecz podobną?“ — pomyślał Richtig, wchodząc spowrotem do jadalni. Ale Wiktoria i tym razem dawała jego duszę za gardło. Co się w nim dusza trochę podniesie, zaraz dostaje po łbie. Uwięzionie babsko?...

— Powiedz mi — mówi Wiktoria od okna — co ja mam właściwie za życie?

Naprzekór nadchodzącym zwierzeniom, pokój łanił świeżością i pogodą. Charakteru kolorystycznego nadawała mu przedewszystkiem ostro czerwona kapa na sto-

żeczalni książek, ale nie mógł jej przecież tego oficjalnie zakazać. Cóż ona znowu wyczytała w jednej z tych swoich pożyczonych bzdu?

— Inne kobiety — zaczęła, ale Richtig przerwał jej szybko:

— Nie możesz przecież narzekać — rzekł, przeciągając słowa.

Dochodziła piąta. Za chwilę przyjdzie Szreder z Kwiatkowskim na karty. Przeciągał więc słowa, ufał, że niebawem nadejdzie odśwież.

Ala Wiktoria nie dała się zbici z tropu. Widziała, jak patrzył na zegarek. Chciała wykorzystać czas, jaki jeszcze został.

— Albo te wieczne awantury — podjęła znów — awantury z Celina. Czy to ma może służyć do upiększenia życia? Zachowuj się wtenczas, jak cham.

Richtig strzepnął rękami i poruszył górną wargą, na której był rudy szpiczasty zarost. Bezręce spojrzenie swych małych oczu podniósł męczeńsko na sufit.

„Kto się zachowuje, jak cham? Ja czy może właśnie ty?“ — mówił w głębi swej pokrzywdzonej samotności i niezrozumienia, aby się pocieszyć.

— Ja dłużej tego nie mogę wytrzymać, takiego życia! Ani się obejrzysz, jak mnie tu nie będzie. Wyjechać, uciec, wyrwać się —

zawołała przeciągłym głosem w różowo złotą pustkę niedzielne popołudnia. — Uduśnię się w tych skórach, w tym całym kramie!

Richtig nagle rozpoznał twarz. Patrzył w sufit, lecz widział co się dzieje za furtką.

— Właśnie idą — rzekł słodko.

Wiktoria nachmurzyła się i cisnęła w niego ziem słowem, które rego już nie słyszał. Rzecz, którą zaczęła, a która wynikała z jej najgłębszych potrzeb, zduszona została w początkach. Czula rodzącą się w sobie burzę, która powinna się była rozwinąć w bogatym repertuarze póź odcieni głosu, utonąć w skargach i lamentach, a oto przyszli goście tej całej niewywołaną siłą wpędziło spowrotem w zgnębne serce. Przyszło jej niewiadomo skąd na myśl, że jest jak drzewo na wiosnę, któremu złościwość ludzka odciała młodą, rozwijającą się gałązkę.

W śieni rozlegał się gruby głos Kwiatkowskiego. „Jy zmokły szczerze — witał jowialnie Richtig — coż twoje skóry?“

Wiktoria uznała, że tego popołudnia nerwy jej nie są wstanie wytrzymać towarzysztwa karciaży. „Wiecznie, przez wszystkie niedziele w roku — to samo, tak samo“ — powtarzała tragicznie.

Na progu zdobyła się jednak na gościnny uśmiech.

— Nie będę panom przeszkadzać.

— Ha, ha, ha — zaśmiał się Kwiatkowski.

— Skądże znowu — powiedział Szreder.

— Celina wyszła, muszę przygotować podwieczorek.

Kwiatkowski uderzył Richtiga w łopatkę.

— Masz Glück, stary — rzekł i zaraz się ogromnie zaczerwienił.

Wiktoria spojrziała na niego karcącym spojrzeniem.

W tym czasie Szreder powtórzył dwa razy słowo „podwieczorek“, jakby badał jego treść. W rzeczywistości zapytywał siebie w duchu, czy Richtigowa ma na myśli paczki czy małe maślane bułeczki. Intonacja głosu jednak nie mu nie mogła wyjaśnić. „U kobiet wszystko zależy od humoru — zdecydował, biorąc karty — prawdopodobnie będą bułki“.

Skrzywił się i rzekł na głos:

— Zwykle pik.

Richtig wygrywał. Wygrywał ciagle, chociaż grał bez uwagi.

Wysokie karty pchały mu się wprost w ręce. Szreder cierpiał, zastanawiał się, czy nie poszukać pretekstu i nie uciec. Można wyjść stąd bez spodni — kłopotłosem. Żeby taki podły, rudy szczer miał brać od nich tyle pieniędzy. I żeby chociaż grał uważ-

nie. Ale widać było, że Richtig najzupełniej nie myśli o grze. Bez namysłu łupał kartami po stole, aż stracił na ziemię filiżankę. Wiktoria po raz drugi uciekła z pokoju. Tym razem uczyniła to manifestacyjnie. „Psiakrew co za niedziela!“ — myślał Richtig. Spojrzął na zegar. Była za pięć osma. Przenosił gości i poszedł do swego pokoju. W książce telefonicznej poszukiwał numeru.

— Czy to warsztaty reparacyjne? — zapytał. — No więc tak. Tu mówi Michał Richtig. Niech pan przysle heterodynę, mam gości.